



Adam Cebula "Gderanie konserwatysty nad zdemolowanym sedesem"

Cintryjka



Jestem konserwatystą. Taka jest prawda. W tak zwanych popularnych kategoriach, ale także patrząc na to, jak funkcjonuję. Bo na przykład nietolerancja dla pedałstwa. Do homoseksualizmu, to nie wiem, nie mam ekhem... stosunku. Natomiast trudno mi zachować życzliwość dla pary, która w głośnym szale uniesień połamala sedes. Że kibelek męski to... nie wiem, doprawdy, czy w niepłodnym składzie byli, ale klnę na wszelki wypadek pedałów, czyli w moim nazewnictwie ludzi wiodących nieuporządkowane pożycie w publicznych toaletach. Być może też jednopłciowych.

Boję się rewolucji, dopuszczam ewolucję. Lepiej dostosowywać to, co zastane, aniżeli wywracać do góry nogami. Z tej perspektywy monarchizujący sympatycy rządów silnej ręki jawią mi się jako anarchiści, bowiem od kilkudziesięciu lat w Polsce, od dobrze ponad stu w Europie, nikt z powodzeniem monarchii nie wprowadzał, to byłaby naprawdę ryzykowna rewolucja, porzucenie z anarchistyczną pogardą wszystkich naszych doświadczeń.

Mam bardzo dobrze określony stosunek do tworzenia zasad, czy poglądów, które mają regulować jakieś ważne dziedziny życia. Nie mogą wyskakiwać z kapelusza, być wynikiem domniemań, przesądów. Muszą być zgodne wieloletnim doświadczeniem, albo wynikać z wiedzy, którą zdobyła nauka. Nie ufam, zupełnie nie toleruję ideologii powstałych na użytek chwili, tym bardziej poglądów ukutych przez domorosłych pismaków, zatrudnionych w pismach dla kucharek.

Życie nauczyło mnie bardzo silnie oddzielać wiedzę i poglądy tak zwane popularne, kolportowane w mediach, których zadaniem jest zajęcie czasu w oczekiwaniu na strzyżenie u fryzjera, od tych, które

służą na przykład do zaprojektowania urządzenia, czy jakiegoś procesu. Te pierwsze zazwyczaj są nieprawdziwe i gdy zechcemy w oparciu o nie coś zrobić, zdarzy się katastrofa. Nie wolno używać do czegokolwiek wiedzy wyprodukowanej w amatorskich warunkach i jedynie na potrzeby rozrywki.

To zachowawcze podejście zwróciło moją uwagę na zjawisko powszechnej akceptacji tzw. życia poczętego. Proszę wybaczyć, nie zamierzam dyskutować, czy i kiedy Bóg daje duszę. To kwestia czysto teologiczna. Zupełnie inną kwestią jest dość powszechna akceptacja, albo prawie zupełny brak dyskusji nad momentem, w którym staje się człowiek.

Kwestia - i owszem - zdaje się drażliwa, ale na wszelki wypadek powiem, że - przynajmniej dla mnie, do awantury o ustawę aborcyjną daleko. To zupełnie inna para kaloszy. Chodzi mi o przekonanie, że moment połączenia się gamet, owo zapłodnienie, jest kluczowy, od tej pory rusza zaplanowany rozwój, który da konkretnego Jasia, nie Zdzisia.

Moje spostrzeżenia są takie, że powyższe przekonanie funkcjonuje i że nie kwestionują go nawet wojujące feministki. Skoro gamety się połączyły, mamy przynajmniej komplet informacji DNA i wobec tego powstanie osobnik o konkretnym kolorze włosów, ale też charakterze i poglądach, prawda? Wobec tego, czujemy to całym ciałem, jest jak najbardziej człowiek! Już siedzą w nim zdolności do muzyki, rozczulająca niechęć do matematyki, uczuciowość, trzeba tylko poczekać, aż się te cechy ujawnią.

Sęk w tym, że to guzik prawda. Połączone DNA, komplet chromosomów, to, owszem, jakiś fundament, czy plany, ale co wyrośnie, określi informacja, której jeszcze nie ma. Na biologii się specjalnie nie znam, ale tzw. białka histonowe wielokrotnie konsultowałem. To szkielet podtrzymujący DNA i rusztowanie, określające, które fragmenty kodu genetycznego będą produkowały białka, a które pozostaną nieaktywne.

Wiedza o tym, skąd się bierze konkretna konstrukcja białek histonowych, jest obecnie mętna. Natomiast mamy rozliczne dowody na to, że nie tylko bez nich nie da się np. wyhodować dinozaura, mając tylko - choćby i kompletną - sekwencję DNA. W środowisku, w którym znajduje się zarodek, muszą działać konkretne białka regulatorowe, ba, musi ono mieć odpowiednie gradienty stężeń, szereg parametrów musi zostać spełnionych, by cokolwiek z tego wyszło. Wszystkie one odciskają się na efekcie końcowym w postaci organizmu. Dokładają swoją informację o tym, jaki on ma być. Dlatego matka w ciąży nie może sobie golnąć, musi przestać palić. Bo średnio rzecz biorąc, brak toksyn robi dobrze, ale czasami dla powstania geniusza mogą się one okazać konieczne. Nie, ani człowiek, ani inny organizm nie powstaje w momencie skompletowania się jego DNA. Mamy mocne eksperymentalne dowody na to, że w procesie rozwoju wkładane jest jeszcze bardzo wiele informacji i to one decydują, że w ogóle powstanie coś zdolnego do życia.

Czym jest to "życie poczęte"? Przede wszystkim hasłem wyprodukowanym dla potrzeb politycznych bijatyk. Fizycznie, realnie, generalnie poza kibolskimi w charakterze politycznymi awanturami, poza filipikami w gazetach, nie za bardzo istnieje.

Efekt przekonania o tym, że człowiek powstaje niemal punktowo w czasie w momencie zlania się DNA, skojarzył mi się z zupełnie inną dziedziną, nazywaną ruchami New Age. To dziwna mieszanka wiary, guseł i nauki, mieszanka, która potrafi czasami zrobić coś dobrego, ale zazwyczaj wpuszcza ludzi w maliny, bo zajmuje się na przykład oczekiwaniem na spotkanie z kosmitami. Erich von Däniken z pewnością jest typowym przedstawicielem tego nurtu. Człowiek, który jednocześnie zainteresował mnóstwo ludzi archeologią i napisał tyle bzdur oraz zmyśleń, że ludzkość po kilkudziesięciu latach nie potrafi się wygrzebać z tego stosu. Np. w prasie kursuje pogląd, że historia Wyspy Wielkanocnej jest jakąś nadzwyczajną tajemnicą, gdy tymczasem wszystko, co najważniejsze, bardzo spójnie wyjaśnił o wiele wcześniej Thor Heyerdahl. Nie, nie ma żadnych zasadniczych

problemów z wyjaśnieniem, jak Egipcjanie zbudowali piramidy, są pomysły, jak znaleźć tam jakieś przyciągające publiczność zagadki. Nie ma żadnych powodów, by wymyślać interwencję kosmitów.

Jedyną przyczyną pojawienia się hipotezy o paleoastronautyce jest jej atrakcyjność dla dość szerokiego grona ludzi, którym coś tam z historii, czy archeologii świta, tym niemniej, nie wiedzą zbyt dużo, by się nie zacząć śmiać. To atrakcyjność scenografii wymyślonej przez science fiction powoduje, że pomysły o latających talerzach, piramidach budowanych jako jakieś urządzenia startowe, albo cudowne odbiorniki energii, są takie nośne.

Pomysł o wskazaniu początku człowieka (w zasadzie, gdy dodamy, że raczej dowolnego organizmu, to straci on swą ideologiczną ostrość) jest podobny pod względem finezji, nie mówiąc już o genezie. Niekompletna, ale atrakcyjna, chciałoby się rzec, wizualnie wiedza o zapisie i działaniu informacji genetycznej popycha do skonstruowania amatorskiej hipotezy, mniej więcej tak przystającej do reszty wiedzy, jak ci paleo-astronauci budujący piramidy. Stoją piramidy? Stoją. Mówicie, że trudno było zbudować? No to macie odpowiedź. Czego się czepiacie? Widzicie? Tysiące historyków dumало, a przyszedł jeden amator i załatwił wszystkich.

W przypadku DNA o amatorstwie milczymy, ba, podepną się nawet zawodowcy, bo ciężar problemu leży w zupełnie innym miejscu. Tu chodzi o coś "poważniejszego", o polityczną propagandę. Opłaca się nawet naukowcowi przymknąć oko na przekłamania, czy niedopuszczalne uproszczenia, byle pomóc dawać chłopcom z tamtej wsi. Niestety, mechanizm powstania swego rodzaju miejskiej legendy jest właściwie identyczny: bierzemy uproszczoną dla potrzeb mas wiedzę i trochę na przełaj, trochę wbrew nauce, budujemy teorię dla potrzeby chwili, łatwą do zapamiętania i powtarzania, atrakcyjną, wyjaśniającą wszystko.

Tak nieco na marginesie, to teorie naukowe są z reguły ograniczone do jednej dziedziny i prawie zawsze w jakimś stopniu choć trochę dziurawe, na przykład są jakieś efekty, które nie dają się nimi dobrze wyjaśnić. Teorie zbudowane na cele propagandowe wyglądają zwykle na monolit nie do ruszenia. Kompletność jest znakiem oszustwa.

Sednem sprawy jest, że miejska, czy prasowa legenda ustawi nas we właściwej drużynie, będziemy wiedzieć, z kim się mamy nawalać, pozbawi wszelkich wątpliwości i nada nawalancie wymiar moralny, natomiast oczywiście nie da się za jej pomocą niczego zaprojektować czy skonstruować, bo się ów konstrukt zawali. Jest legendą, a nie prawdą.

To dosyć dramatyczne podejrzenie, że jeden z najzacieklejszych sporów jest oparty na dokładnie takim samym mechanizmie, z którego wyłoniło się New Age z wiarą w UFO i odwiedziny kosmitów. Ten mechanizm to przyjęcie wiedzy nie ze źródeł naukowych, ale z gazet, czy telewizji, wizji nie już nawet naukowców, starających się zniżyć do poziomu laika, ale po prostu wypływającej z błędnego rozumienia zagadnienia przez dziennikarza. Efektownego, często spójnego, dobrze się wykładającego, ale posiadającego te cechy dzięki niezgodności ze stanem faktycznym.

Jeśli zauważymy, że zarodek ssaka bez znacznego wysiłku organizmu matki nie stanie się zdolnym do życia osobnikiem i że wobec tego moment zapłodnienia nie za bardzo jest początkiem życia, a już z pewnością nie początkiem konkretnego Jasia czy Zdzisia, zaledwie etapem, na którym decydują się pewne cechy, niekoniecznie nawet, czy będzie to jeden potomek, czy większa ich liczba, cały spór traci na ostrości. Propagandowa wymowa naukowego niby argumentu dramatycznie błędnie i dla szerokiej publiczności może całkowicie stracić sens. Nie, nie dostaniemy żadnego rozstrzygnięcia na przykład w kwestii dopuszczalności aborcji, ale awantura spadnie do poziomu, na który zasługuje, choćby teologii. Sznyt obowiązującej wszystkich ogólności, nadanej poprzez powagę DNA, ulatuje w kosmos.

Mój konserwatyzm buntuje się przeciw coraz bezczelniejszemu stosowaniu tej metody bełtania w rozumach. Powtórzę: to do perfekcji doprowadził niejaki Erich von Däniken, a dziś mamy coraz liczniejsze szeregi kontynuatorów. Oczywiście, neokreacjonizm, walka z teorią Darwina, z którą, co jakoś wielu umknęło, Kościół Katolicki się pogodził, to niemal idealna kalka metody twórców New Age. Mamy też tworzoną dla potrzeb pognębienia politycznego przeciwnika choćby alternatywną historię. Jak ludziom udowodnić, że całość polskiej elity politycznej kompletnie i od zawsze błędziła? Wmówić im, że gdybyśmy jako naród zrobili coś na odwrót, niż robiliśmy, to byłoby świetnie. Widzicie, tylko JA nie błędzę, tylko JA nadaję się na zbawiciela. Na przykład gdyby Polacy w trakcie II Wojny Światowej współpracowali z Niemcami, posłuchajcie, jaki świetny mam pomysł! Celujemy tu w młodego człowieka, który historii nie zna i jest dość młody, by jego rodzice nie opowiadali mu, jak było. Stary, który widział okupację, odpowie, że owszem, z hitlerowcami współpracowała żydowska administracja gett. W nagrodę pojechali jako ostatni do gazu. Nie ma co się łudzić, że Słowianie nie byli w tej kolejce do zagłady, przekonała się o tym na własnej skórze ludność Rosji, ale też Kielecczyzny czy lubelskiego.

Na bardzo podobnej "niuejdżowej" metodzie została zbudowana histeria wokół zmian klimatycznych i walki z globalnym ociepleniem. Nic się tu nie zgadza, nie szkodzi, pomiary się wybierze te, które trochę pasują, filmy o topnieniu lodowców odpowiednio zmontuje i interes się będzie kręcił. Do momentu, do którego realne zagrożenie (Putin?) nie zmusi nas do rzeczywistego działania, nie zmusi do weryfikacji teorii, zbudowanych na amatorskim traktowaniu nauki i wybieraniu faktów pasujących do naszych pomysłów, będziemy wywalać gigantyczną kasę, która na przykład mogłaby pójść na ratowanie chorych, czekających dziś w ogromnych kolejkach do specjalistów. Szaleństwa kosztują zawsze życie.

Trzęsie mnie cholera, bo za dawnych czasów, które jednak dobrze pamiętam, metoda, jaką stworzono paleoastronautykę, służyła konstruowaniu fabuły wszelkiej science fiction. Jakkolwiek rezultaty były bardzo przekonujące, na co dowodem jest popularność gatunku, to wszyscy wiedzieli, że to science fiction, czyli bajki i same reklamy. Złuda tworzona dla rozrywki. Tak ongi bywało, że złudę i rzeczywistość starannie oddzielano, ale dziś to najwyraźniej niemodny konserwatyzm.

Tak sobie myślę, że gdyby współcześnie czytano ze zrozumieniem o przygodach pilota Pirxa i "Rakietowe szlaki", to ten nasz świat byłby trochę mniej po... walony. Może trochę więcej zajmowalibyśmy się tym, że jakoś wypadł nam z nauczania rachunek wektorowy, że produkujemy coraz durniejszych obywateli, zajmujących się wymyślonymi problemami, ważnymi jak kibolskie wojenki, a mniej problemami wynikającymi z tego, że się czegoś do końca nie doczytało i nie zrozumiało. No cóż... zaczynam zrzedzić jak stary człowiek. Tetryczeję. W Przedborowie mawiali "nieważne kto z kim śpi, byle dzieci były zdrowe", co było wyrazem tolerancyjnego podejścia do obyczajowości, a ja, niestety, w tych sprawach deski klozetowej nie potrafię odpuścić. No cóż, wiem, że w mieście mniejszości mają problemy, że serce nie sługa, ale bardzo proszę, ostrożnie...